

# Uściński, Krzysztof

---

Popularyzacja na manowcach : (na marginesie książki Aleksandra Bocheńskiego, *Niezwykłe dzieje przemysłu polskiego*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Wrocław 1985, s. 140)

---

Przegląd Historyczny 81/3-4, 685-692

---

1990

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

KRZYSZTOF UŚCIŃSKI

### Popularyzacja na manowcach

(na marginesie książki Aleksandra Bocheńskiego, *Niezwykłe dzieje przemysłu polskiego*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Wrocław 1985, s. 140)

W powracającej co jakiś czas dyskusji na temat stanu wiedzy historycznej społeczeństwa i kondycji historii jako nauki, niezmiennie powtarza się jedno stwierdzenie: dorobek polskiej historii nie jest gorszy, a często lepszy, niż innych nauk, natomiast rzeczywiście fatalnie rzecz ma się z popularyzacją tego dorobku, co pociąga za sobą niższy od oczekiwanego poziom wiedzy historycznej społeczeństwa. Winą za taki stan rzeczy obarcza się zwykle czynniki zewnętrzne, przede wszystkim cenzurę i kulejącą poligrafię, i wewnętrzne: niechęć zawodowych historyków do zajmowania się popularyzacją, niechęć i niemożność reagowania na każdą złą i niekompetentną pracę tego typu, i wreszcie nieumiejętność pisania w sposób przystępny i zajmujący dla czytelnika niefachowego.

Dobra popularyzacja winna przybliżyć czytelnikowi masowemu — a więc o dość trudnym do określenia poziomie percepcji — problemy, którymi żyje i które rozwiązuje środowisko badaczy. Trzeba to zrobić przystępnie i prosto, ale nie prymitywnie i prostacko. Winno to być podane językiem na tyle ładnym, by nie męczył i nie odstręczał odbiorcy, a wprost przeciwnie — budził i podsycił jego zainteresowanie. Gdyby to trudne zadanie mówienia prosto o rzeczach zawiłych uwieńczył sukces, autora czekają (tu nieco idealizuję) duże nakłady, wznowienia i miła popularność. Te ostatnie względy sprawiają, że w sytuacji absencji czy wahania historyków świadomych oczekiwań i czyhających trudności, na zwolnione pole wpada rzesza harcowników — ludzi o lżejszym często piórze, ale niestety także o mniejszej wiedzy i mniejszych skrupułach (za to z koneksjami w wydawnictwach). Często efektem są prace tylko z nazwy popularnonaukowe. Szczególnie wiele wyrządzają zła, gdy adresowane są do młodzieży. Trafiają bowiem na czytelnika bardzo chłonnego, ale nie odróżniającego na ogół racji od emocji i niezdolnego zazwyczaj do samodzielnej weryfikacji serwowanych mu faktów i osądów.

Uwagi powyższe spowodowało ukazanie się książki Aleksandra Bocheńskiego o. Zasłużonego publicystę, autora „Wędrowek po dziejach przemysłu polskiego” i „Przemysłu polskiego w dawnych wiekach”, trudno posądzić o nieumiejętność pisania czy nieznaną tematu. A jednak. Wcześniejsze zasługi nie mogą zatrzeć faktu, że „Niezwykłe dzieje” są pracą złą, bałamutną i ze wszech miar szkodliwą zważywszy, że adresowana jest do młodzieży, i że niektórzy nauczyciele rzeczywiście ją polecają. W swej części dorobkowej jest ona niedbałym streszczeniem (a momentami przytoczeniem *in extenso*) fragmentów „Przemysłu polskiego”; w całości pracą pisaną w pośpiechu i z tego powodu zawierającą bardzo wiele błędów.

Wbrew zapowiedzi zawartej we wstępie praca nie ukazuje bynajmniej „łatwspaniałego rozwoju, kiedy to polski przemysł był wzorem dla całej Europy” (s. 6).

Przekrój dziejów od Polski Piastów do Polski sekretarzy, kończy na czasach, w których nasz przemysł wzorem dla Europy nie był i nie jest, bo być nie może. Książka składa się z trzydziestu dwóch rozdziałów ukazujących w porządku chronologicznym epizody z dziejów wybranych przemysłów (górnictwo, hutnictwo, piwowarstwo, papiernictwo, włókiennictwo, Tyzenhauzowe manufaktury), kariery poszczególnych miast (Olkusz, Lublin, Piątek, Końskie, Łódź), krótkie biografie wybitnych działaczy gospodarczych (Jan Turzo, Antoni Tyzenhauz, prymas Michał Poniatowski, księży Józef Osiński i Stanisław Staszic, Ksawery Drucki-Lubecki, Jan Bloch). Krótki rozdział syntetyzuje „Stulecie martwoży 1648—1750”. „Zakończenie” charakteryzuje międzywojenne dwudziestolecie i lata po II wojnie światowej.

Na kanwie faktów z historii polskiego przemysłu prezentuje Bocheński swoją wizję historii, nie tylko zresztą historii Polski. Wizja ta nie jest niestety podbudowana rzetelnym ukazaniem faktów i procesów dziejowych. Składają się na nią rozrzucone lekką ręką cenzurki publicysty raczej niż opinie trzymającego w karchach emocje badacza. Autor twierdzi np., że Stanisław August Poniatowski to „najbardziej bodaj inteligentny Polak XVIII wieku, ale niestety z najsłabszym charakterem” (s. 29) i „najmądrzejszy z polskich królów” (s. 54, 71). Marcin Bielski — „zawistny szlachcic skryba” (s. 26)<sup>1</sup>, a Michał Bobrzyński — „może najwybitniejszy polski historyk” (s. 65). „Ziemia obiecana” Reymonta okazała się „karykaturą Łodzi” (s. 129), a Polska Ludowa „nowoczesnym krajem” (s. 96) i „znów jednym z największych mocarstw Europy” (s. 31). Określenia te oddają przekonania autora i mogłyby występować w tym charakterze, gdyby o tych ludziach i problemach była omawiana książka. Ale nie jest. Pozostały w niej głoślowne stwierdzenia — dyskusyjne, pochopne czy po prostu nieprawdziwe.

Oto przykłady: J. Watt nie wynalazł maszyny parowej (s. 16), Gagarin nie latał sputnikiem (s. 17) i nie jest symbolem ery elektroniki. Przeciwno Turzonom nie wybuchła „rewolucja” (s. 28), siła wodna przed rokiem 1290 nie była „nie znana” (s. 39), nie istniała „unia polsko-litewsko-ruska” (s. 44)<sup>2</sup>, Lublin około 1600 r. miał nieco ponad 10 tys. mieszkańców nie zaś 40 tys. (s. 44), klęska Czechów pod Białą Górą nie oznaczała bynajmniej końca szlachty tego kraju” (s. 58) — jest to mit wart mniej więcej tyle co powiedzenie „za króla Olbrachta...”, Stanisław Leszczyński nie został w 1733 r. wybrany „jednomyślnie” (s. 71). Pleonazmem jest określenie „szlachcic feudalny” (s. 36), a anachronizmem i propagandowym uproszczeniem z lat bezpośrednio powojennych — pisanie „polskie skarby podziemne” o węgla wydobywanym na Śląsku w XVIII wieku (s. 57). „Kopalnie fryszerskie” to kolejna oczywista pomyłka (s. 73). Niezrozumiały jest termin „postfeudał” w odniesieniu do szlachty okresu „poptopu” (s. 88); błędem — utożsamianie wartości przez nią deklarowanych z wartościami realizowanymi (vide: dyskwalifikująca ocena osób trudniących się handlem i jednocześnie powszechne dorabianie się nie tylko na dozwolonym szlachcie handlu ziemiopłodami, bydłem i końmi).

Praca obfituje również w stwierdzenia przesadne, pochopne czy groteskowe. Oto kilka przykładów: termin „chudopacholek” nie oznacza bynajmniej, że Jan Turzo „pachołkiem był chudym” (sic! — s. 25); groteskowe jest szukanie pozytywnej korelacji między piciem piwa i „bilansem sił narodowych” (s. 47) a grubą przesadą twierdzenie, że „historia przeklina” Tyzenhauza za założenie szkoły baletnic (s. 77). Nieuprawnione jest domniemywanie motywu bójki czeladników krakowskich w

<sup>1</sup> Nota bene wcześniej pisał o Joachimie Bielskim; zob. A. Bocheński, *Przemysł polski w dawnych wiekach*, Warszawa 1984, s. 34.

<sup>2</sup> Tamże, s. 125 czytamy o „zjednoczeniu polsko-litewsko-ruskim”, co jest do przyjęcia.

1534 r.: ponieważ jedyny wówczas zabity był jednocześnie jedynym uczestnikiem zajścia o polskim nazwisku — Bocheński wnioskuje stąd o... ówczesnym stosunku Polaków do Niemców — „innym mówiących językiem i patrzących z góry na dawnych ziemi gospodarzy” (s. 45) Ciekawe, że opisując ten incydent w „Przemysle polskim” nie pisał o niemieckiej bucie i stwierdził trafnie, że „odrębność brzmienia nazwiska niekoniecznie musi coś znaczyć w sensie etniczym”<sup>3</sup>. Czyżby więc pisanie dla młodzieży zwalniało z wierności faktom?

Dokonane przy „ściąganiu” z „Przemysłu polskiego” modyfikacje pierwotnego tekstu, dokonane z pośpiechem oraz brakiem troski o język, dały efekty niezamierzone a kuriozalne. Oto dowiadujemy się z omawianej pracy, że Jan Tęczyński był starostą lubelskim, ponieważ popierał papiernię (s. 46); opuszczono tu dokładnie trzy słowa ze s. 126 „Przemysłu polskiego”. Na s. 127 pierwowzoru mowa jest m.in. o czasach „mieszczan warszawskich Thiessa, Stamma i Brusckego” — na s. 42 „Niezwykłych dziejów” czytamy o renesansie piapiernictwa dzięki „mieszczanom warszawskim Thiessa, Stamma i Brusckego”!!!

Do dyskusyjnych zaliczyć należą np. twierdzenia: że tradycje gospodarcze są znacznie ważniejsze od „wojennych” i kulturalnych (s. 19); że w Polsce rozum nie popłacał jako przepustka do historii (s. 23); że powstanie listopadowe „nigdy nie zdołałoby przybrać tak katastrofального przebiegu”, gdyby żył Staszic (s. 94); że „Blitzkrieg” by się Hitlerowi nie udał, gdyby Polska miała więcej samolotów „Łoś” i działek przeciwpancernych (s. 137). Niezrozumiała jest teza, że początek XIX wieku to „epoka ujarzmiania sił dotąd martwych i przerzucenia na nie siły żywej” (s. 52) i wywód, że ludzkość idzie naprzód „abnegacją w Indiach. Precyzyjną pracą w dawnych Chinach średniowiecznych. Skalpowaniem głów u Buszmenów. W Europie Środkowej pierwszej połowy XIX wieku — filozofią i literaturą. W kawiarniach paryskich — cyganerią” (s. 84—85). „Zapał do pracy i techniki” to zdaniem Bocheńskiego najważniejsza cecha nowoczesnego człowieka, „świadome planowanie” jest podstawą działań, „świat wielkiego robota” to nasze jutro. „Nowoczesny człowiek” Bocheńskiego uosabia skompromitowane marzenia niebezpiecznych utopistów śniących o świecie udoskonalonym przez wymyślone recepty. „Wielki robot” odchodzi właśnie w przeszłość wraz z końcem dominacji przemysłu ciężkiego i wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Wizja zastąpienia emocji i marzeń ludzkich przez racjonalne planowanie lub marzenia i uczucia sztucznie stymulowane, jako że „społecznie pożądane”, to utopia technokratyczno-totalitarna.

Autor jest przeświadczony, że gwarantem pomyślności Polaków było samodokolenie się w sojuszu z Rosją. Bocheński nie krytykuje wprost idei walk niepodległościowych, ale wyraźnie pisze: „własny rząd, własny ośrodek dyspozycji stracił nasz naród na skutek powstania” (s. 112), a nie na skutek klęski powstania. Nie jest to chyba przejęzyczenie, skoro parę wierszy wcześniej pisze o „klęsce listopadowej 1830”, skoro walce Kościuszki przeciwstawia koncepcję „doskonalenia myśli narodowej” Staszica (powiada o niej: „oczywiście ta droga i tylko ta jedna była słuszna” — s. 94), a u Lubeckiego eksponuje z aprobatą — jako gwarancję autonomii Królestwa — jego konsekwentnie prorosyjską orientację (s. 113). Młody czytelnik ma zrozumieć, że Polacy sami sobie byli winni, gdyż zamiast cieszyć się z konstytucji i autonomii (nic tu nie ma o łamaniu przez cara konstytucji i ograniczaniu autonomii) — chwycili za broń. O młodym Blochu pisze autor per „Żydek” (s. 131), a na bankierów polskich pochodzenia żydowskiego zrzuca odpowiedzialność za słabość naszego XIX-wiecznego przemysłu, bo „nie zasymilowali się w komplecie z narodem polskim” (s. 130). W „Przemysle polskim...”, nie adresowanym tak jednoznacz-

<sup>3</sup> Tamże.

nie do młodego czytelnika, Bocheński nie propagował tezy o „złowroziej”, mentalnej i kulturowej obcości Żydów; przeciwnie, potrafił dostrzec zasługi żydowskich bankierów dla Polski (s. 360) i patriotyzm Żydów polskich jako zbiorowości (s. 370). Dlatego więc obraz Żydów w „Niezwyczajnych dziejach” jest tak jednolicie czarny?

Zbyt łatwo ulega Bocheński pokusie historiozoficznego mentorstwa; w rezultacie kaleczy własne myśli. Tekst pierwotny — „Po prostu Batory umiał chcieć, wiedział na pewno czego chce, i umiał to wytłumaczyć. To prosty sekret skutecznego przywództwa”<sup>4</sup>. W „Niezwyczajnych dziejach” czytamy: „Po prostu Batory umiał chcieć i wiedział na pewno, czego chce. To prosty sekret prowadzenia narodu polskiego” (s. 20). Tak oto nieoryginalna, ale trafna obserwacja, że przekonanie podwładnych do swej idei zwiększa skuteczność działania przywódcy — przemienia się w dyskusyjną tezę, że Polakami może skutecznie rządzić jedynie przywódca silny i zdecydowany. Polska szlachta u Bocheńskiego była mianowicie „niesforna” i „anarchiczna” (s. 20) i dlatego wspólnie ze Szwedami doprowadziła do ruiny miast, wsi i rozpadu państwa (s. 29).

Nowsza historiografia zrezygnowała z publicystycznych rozważań o charakterze czy to polskich klas uprzywilejowanych, czy to całego narodu. Znaczący XVII i XVIII wieku, rozważając przyczyny upadku Polski, dziś nie podnoszą jako argumentu rzekomej skłonności Polaków do anarchii, ani faktu istnienia *liberum veto*.

Na kanwie takich poglądów wyrosła filozofia gospodarcza Bocheńskiego. Słabości polskiego przemysłu przed rokiem 1945 winien jest „egoizm szlachecki i brak zrozumienia dla gospodarki i techniki” w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, brak patriotyzmu żydowskich bankierów w Kongresówce, „egoizm biurokracji i podobne lekceważenie produkcji” w II Rzeczypospolitej (s. 135).

Chwilami autor zdaje się być zakłopotany faktem, że tak wielu pionierów przemysłu to pozytywni reprezentanci stanów czy klas ongiś uprzywilejowanych. Dlatego, chcąc pochwalić jednego feudała czy bogatego mieszczanina, asekuruje się chwaląc — „dla zachowania proporcji” — legion średniowiecznych proletariuszy. Na trafne stwierdzenie, że „myśl, ryzyko i zdolności ekonomiczne decydują o każdej gospodarce”, odważa się dopiero po wstępnej asekuracji: „oczywiście na pierwszym miejscu wymienić trzeba robotników — bo ich to praca ciężka, i to w warunkach wyzysku, tworzyła wielkie dzieła i epoki, o których tu mowa” (s. 19). Zanim napisze, że „króla Stanisława ani jego brata prymasa, czy ich adherentów nie sama chęć zysku skłaniała do intensywnej industrializacji” — podkreśli najpierw, że biskupi krakowscy i niektórzy magnaci budowali huty „dlatego, że były nadzwyczaj rentowne” (s. 79). Zanim pochwali Leopolda Kronenberga czy Jana Blocha — zagrozi surowo: „obaj byli kapitalistami i nie ich nie zwolni od wyroku historii za wyzysk, jaki uprawiali” ponieważ „ciemne strony ich działalności są powszechnie znane — nie od dzisiaj” (s. 128). By jeszcze mocniej zohydzić młodemu czytelnikowi tych wstrętnych kapitalistów, stwierdzi (nota bene w niezgodzie z Marksem!), że „chowaną do kieszeni” wartość dodatkową obracali na wydatki „przeważnie luksusowe” (s. 107).

Przemysł dla Bocheńskiego jest „celem i sensem działań każdej, większej, czy mniejszej, silniejszej czy słabszej wspólnoty narodowej. Celem i sensem — bo probierzem wielkości i siły, miarą jej zdolności wytwórczej — i twórczej” (s. 135). Jeżeli więc ktoś myślał, że celem i sensem działań każdej wspólnoty jest coraz lepsze zaspokajanie zmiennych ludzkich potrzeb, a rozwój przemysłu tylko środkiem do osiągnięcia tego celu — mylił się.

Nasycone wykładu terminologią i pojęciami z marksistowskiej teorii rozwoju społecznego nie wyszło księżce na dobre. Zachwyca się Bocheński, że po roku 1945

<sup>4</sup> Tamże, s. 151.

kapitał jest „w rękę całego narodu” (s. 10); tymczasem Marks uczy, że skuteczną politykę inwestycyjną zapewnia dopiero koncentracja kapitału i prawo decydowania o jego przeznaczeniu w rękach nielicznej grupy ludzi. Popełnia drastyczny błąd pisząc o hutnictwie uspołecznionym w sytuacji, gdy „coraz liczniejsze zakłady należały do instytucji rządowej” (s. 98). O końcu formacji kapitalistycznej i zapanowaniu marksowego „Królestwa Wolności” pisze jak o fakcie dokonanym (s. 114), terminem „dialektyczny” potrafi ochrzcić nawet swoje pojęte cechy ludzkie (s. 128), a akumulację kapitału nazywa... bankowością (s. 129).

Mylne jest twierdzenie, że terminem *generosus* określano każdego szlachcica oraz że podstawowym znaczeniem tego terminu jest „szczodry” (s. 129). Wychodząc z tych dwóch nieprawdziwych przesłanek autor oznajmia, że termin ten dlatego przyłgnął do stanu szlacheckiego, iż oddawał jego podstawową, immanentną cechę — nieumiejętność oszczędzania, szeroki gest, rozrzutność. Tymczasem twierdzenie, że „postawa utracjusza to postawa feudała” (s. 36) nie wytrzymuje krytyki: przecież od utracjuszy nie są wolne ani społeczności przed-, ani po-feudalne, występują oni w każdej warstwie, klasie czy grupie uprzywilejowanej (narodziny postaw utracjuszowskich wśród przemysłowców angielskich XVIII wieku — purytańskich w okresie dorabiania się — pięknie pokazał tak chętnie przez Bocheńskiego przywoływany Marks).

Okres Polski Ludowej omówiony został odrębnie i w odmienny sposób: większa egzaltacja, większa dyskrecja i większa ignorancja. Cały ten rozdział to zwykła okolicznościowa laurka mająca znacznie więcej wspólnego z agitacją niż z popularyzacją. Autor maluje dynamiczny obraz kraju, w którym ludzie, mimo knowań okupantów działających „z jakimś szatańskim zaiste sprytem” (akcentuje tylko demontaż niemiecki, o efektach rodzimego szabru i demontażu prowadzonego przez wojska radzieckie nie wspomina) i mimo ogromnych zniszczeń wojennych (omawiając start II Rzeczypospolitej zignorował, porównywalnych przecież rozmiarów, zniszczenia z I wojny światowej), wzięli się do pracy z niezwykłym entuzjazmem, wszyscy razem i za miskę zupy. Osiągnięcia czterdziestolecia są zdaniem Bocheńskiego ogromne: zalicza do nich i rabunkowe wydobycie bogactw naturalnych, i ich nieopłacalny eksport w stanie surowym lub nisko przetworzonym, i w końcu eksport cukrowni przy przerażającej dekapitalizacji obiektów pracujących w kraju; a podpira te wywody porównywaniem z wybranymi wskaźnikami przedwojennymi — skompromitowany chwyt propagandowy. Stan służby zdrowia i doskonale nawierzchnie polskich dróg mogłyby być jeszcze lepsze, gdyby nie pewne przeszkody i wewnętrzni wrogowie...

Polska Ludowa, tłumaczy, jest krajem o zbyt małej centralizacji decyzji gospodarczych (sic!) i za słabej władzy wykonawczej (sic!!). Umożliwiło to szkodliwą działalność „grupom nacisku realizującym swoje cele, czasem obce celom ogólnonarodowym, czasem z nimi sprzeczne” (s. 138). Czyżby znowu upiory Żydów, masonów i cyklistów? Nie, tym razem były to „ekipy techników” i leniwa, „potężna dykasteria planistów i finansistów”, a ułatwiały im zadanie: brak dyscypliny, zanik oszczędności, moralności i rzetelności (s. 138). Bzdurny to obraz zdemoralizowanego społeczeństwa, któremu brak centralnego zarządcy potrafiącego ciężką ręką wymusić posłuszeństwo dla absolutnie słusznych decyzji władzy. Wykorzystując tę sytuację, grasują po kraju niepatriotyczne czy wręcz antynarodowe grupy potężnych techników i mącą naciskając...

Sytuację w Polsce Bocheńskiego komplikują dodatkowo tajemnicze osoby czy gremia, o których działaniach wyraża się nader dyskretnie: „lekceważono”, „zamazano”, „spychano”, „obsadzano”. Wszystkim tym tajemniczym wrogom Polski Ludowej z technikami na czele przyszły w sukurs — tu gromkie uderzenie w zbiorową

pierś — nasze powojenne wady narodowe: pycha i „mylnie utożsamiana z godnością narodową” pyszałkowatość, które kazały nam (nam!) topić państwowe oszczędności w „budowie gmachów biurowych czy mieszkalnych niepotrzebnie drogie i wystawnych zamiast wznosić ich więcej, ale skromniejszych” (s. 139). Jeśli więc komuś dotąd wydawało się, że to nie on decydował o wyborze strategii uprzemysławiania czy koncepcji budownictwa mieszkaniowego, jeżeli sądził, że zdecydowanie więcej jest w Polsce owoców siermiężnego socjalizmu Gomułki w postaci bloków z jedną ubikacją na piętrze niż mieszkań „niepotrzebnie drogie i wystawnych” — był w błędzie.

„Ogromne” i „zawrotne” mimo tych przeszkód osiągnięcia są — tłumaczy autor — owocem wyteżonej pracy 5 milionów pracowników przemysłu społecznego (tylko tam można budować kolejną Polskę) kierowanych przez może za liczną ale (sic!) dobrze wyszkoloną<sup>5</sup> kadrę inżynierów i techników (oczywiście innych, „dobrych” techników). Ewentualne czytelnicze opory ucina Bocheński demagogicznym: „że chcielibyśmy więcej, nie znaczy, że nie zdobyliśmy nic” (s. 140). W rezultacie młody człowiek dowiedział się, że jeśli coś jest „nie tak”, to winien jest on sam, jako nosiciel określonych cech narodowych, oraz tajemnicze siły. Nie przeczytał natomiast ani słowa o wadliwej i niekonkurencyjnej strukturze eksportu, prestiżowych inwestycjach poza planem, o błędnej koncepcji „planu otwartego”, o dysproporcjach rozwoju w warunkach forsowania inwestycji w przemyśle ciężkim, o fetyszyzmie wskaźników i planu, a w końcu o najważniejszym, kryzysogennym sposobie sprawowania władzy.

Książka jest nasycona liczbami, lecz one właśnie podrywają zaufanie do autora i jego argumentacji; zbyt wiele w nich błędów i niejasności. Niektóre można poprawić samemu, sprawdzając autorskie rachunki (np. s. 9, 16, 22, 54<sup>6</sup>), inne — sięgając do cytowanych przezeń opracowań. Pisząc o 50 milionach czarnych niewolników przewiezionych na kontynent amerykański (s. 108), autor powołuje się na K. Piesowicza; zaglądamy do Piesowicza i ... czytamy o 20 milionach<sup>7</sup>. Na s. 118—119 najpierw czytamy, że „polski eksport skoczył z 12,4 miliona w r. 1819 do 21,4 w 1821”, stronę dalej — że w roku 1820 „eksport do Rosji wynosił zaledwie pół miliona złotych”, a w dosłownie następnym zdaniu — że w 1829 r., w 6 lat po wprowadzeniu nowej ustawy celnej „eksport przeszedł z 12 na 45 mln zł, w czym do Rosji 27 milionów”. Wszystkie te niesprowadzalne do wspólnego mianownika dane znajdujemy w rozdziale „Ekonomiczna Magna Charta 13 sierpnia 1882”, w którym o tym dokumencie niemal ani słowa.

Nie tylko liczby, ale i daty sprawiają autorowi problemy. Szczególny kłopot jest z wojnami szwedzkimi, które zaczynają się najczęściej w roku 1648 (s. 9, 10, 29). Epoka Jagiellońska zaczyna się na cztery lata przed śmiercią Kazimierza Wielkiego (s. 44), Staszic przestaje zarządzać górnictwem i hutnictwem raz w roku 1826 (s. 101), a raz w 1824 (s. 106), wojska carskie ścigające Napoleona wchodzą do Księstwa (zwanego już awansem Królestwem) w 1812 (s. 111), powstanie listopadowe upada w 1830 (s. 112), a Wielki Kryzys rozpoczyna się w 1930 (s. 136).

Z równą beztróską jak liczby i daty potraktowane zostały nazwiska: prof. Antoni Mączak występuje jako „Mączek” (s. 52, 59), Jan Boner jako „Bonar” (s. 9), Walenty Roździeński jako „Rodzieński” (s. 36) vel „Rozdzieński” (s. 37), Antoni Tyzen-

<sup>5</sup> Według ocen NOT tylko 15% polskich inżynierów zasługuje na to miano, według prof. Tymowskiego, b. prezesa NOT — 20%. Zob. B. W. Olszewska, B. Józefowicz, *Lwy czy barany*, „Polityka” 1987, nr 44, s. 5.

<sup>6</sup> Autor nie podaje, że przedstawionej przez siebie z błędem kalkulacji dokonał R. Rybarski; zob. A. Bocheński, *Przemysł*, s. 96 (tu bez błędu).

<sup>7</sup> K. Piesowicz, *Całkiem inna historia*, Warszawa 1982, s. 120.

hauz konsekwentnie pisany jest przez „s” na końcu (s. 75 i n.). Ponadto jest tam „Szejpolt Fibl” (s. 26) alias „Szwejbold Fiol” (s. 27) — znany z kart „Przemysłu polskiego...” pod nazwiskiem „Szwajpolt Fiol”<sup>8</sup>, oraz Maciej, zwany „Scharffenbergerem” i „Szarffenbergiem”, i „Hartfoller” (s. 41) — wcześniej nazwani „Markiem Szarfenbergiem” i „Hartfellerem”<sup>9</sup>.

Zdumiewa też u publicyści maniera gromadzenia wyrażen i określeń dziwacznych, groteskowych, a nieraz nielogicznych i niegramatycznych: „powrócił do tego czym się urodził — do wynalazków” (s. 27), „rekiny krakowskie” (s. 41), „jedna z dziwów miasta” s. 46), „zaciskała się luźna przed wiekami, zmora pańszczyzny i wyzysku” (s. 63), „Caccia był Wiochem — i nie przypadkiem był nim” (s. 67), „70 cudzoziemców na wysokim poziomie techniki” (s. 76), „bezinteresowność jego nie polegała na odrazie do pieniędzy. Wprost przeciwnie” (s. 95), „przekonanie głębokie, wzdluż którego przedstawił szereg obserwacji i dowodów” (s. 93), „dzierżawi pod pokrywką Epsteina” (s. 132), „był wielkim publicystą, choć talentu pisarskiego nie posiadał. Wyrównywał to z nawiązką nadmiarem ambicji intelektualnej” (s. 133). Na koniec zauważmy, że o ile „na onczas” (s. 106) to błąd pospolity, o tyle „wielkopomny” (s. 64) i „nieustrudzony” (s. 82, 83) to oryginalne osiągnięcia autora.

Bocheński napisał książkę bardzo złą. Tekst czyta się ciężko — zdania są niezborne, niekomunikatywne, z licznymi powtórzeniami, rozdęte, poszatkowane przecinkami i myślnikami, na których utyka czytelnik. Zbyt wiele tu natrętnej dydaktyki, zbyt wiele bezładnych faktów, nieprecyzyjnych twierdzeń, które każe się przyjąć na wiarę. Z dydaktycznego punktu widzenia chybiony jest nawet tytuł. Skoro bowiem pisze Bocheński o ludziach inteligentnych, zdolnych, przedsiębiorczych, upartych i pracowitych, którzy dzięki tym cechom charakteru osiągają sukces, majątek, rozślawiają swój kraj i są motorem rozwoju państwa i społeczeństwa, to doprawdy nie ma w tym nic niezwykłego — jest to logiczna i życiowa prawidłowość, jest to normalne. Niezwykłą i smutną jest sytuacja odwrotna, gdy tacy ludzie przegrywają z wszechmocną biurokracją, gorsetem ustaw i przepisów niższej rangi czy w końcu z ustosunkowanymi miernotami. Niestety, autor zdaje się przyjmować normę za wyjątek i *vice versa*.

Wydanie tego *curiosum* wyrządziło krzywdę wielu ludziom. Czytelnikom, którzy stracili nie tylko czas i pieniądze. Innym autorom, których prace ukazały się być może z tego właśnie powodu z opóźnieniem lub w niższym nakładzie. Samemu Bocheńskiemu w końcu, gdyż publicyście cenionemu za poprzednie prace książka ta nie przynosi chwały. Trudno doprawdy nie spytać, gdzie byli i co robili w procesie wydawniczym recenzenci, redaktorzy i korektorzy.

Tak obszerne uwagi na temat niewielkiej książki popularnonaukowej rodzą pytanie, czy recenzent nie strzela aby z armaty do wróbla. Otóż — nie. W naszych czasach burzliwego rozwoju naukowej literatury w nowościach jednej gałęzi wiedzy nie orientuje się już nie tylko amator, ale i specjalista. Ci ostatni radzą sobie jakoś zawężając specjalności, opracowując pisma o charakterze przeglądów i przeglądów przeglądów, czy podtrzymując kontakty bezpośrednie z ekspertami od penetrowanych przez siebie już nie pól badawczych, ale grządek. Gorzej przedstawia się sprawa z amatorami, którzy skazani są albo na chaotyczne szukanie po omacku, albo na korzystanie z transmisji między nauką a społeczeństwem jaką stanowią przystępnie opracowane wykłady, odczyty, filmy czy książki popularnonaukowe. W sytuacji szybkiego rosnącego rozziwu między wiedzą naukową a wiedzą potoczną, rolę popularyzatorów i ich dzieł trudno przecenić. Tymczasem dokonania ich rzadko spoty-

<sup>8</sup> A. Bocheński, *Przemysł* s. 33.

<sup>9</sup> Tamże, s. 126.



kają się z jakąkolwiek fachową oceną, gdyż zawodowi historycy z reguły ignorują twórczość popularnonaukową. Niestety, to ich milczenie ośmiela ludzi bez skrupułu do zarabiania pieniędzy tanim kosztem własnym a nieoszacowanym — społecznym. Sytuacji na styku wiedza naukowa — wiedza potoczna nie uzdrowi się bez reagowania, i to systematycznego, na konkretne pozycje. Dlatego sędzę, że uwagi te należało spisać; choćby w imię tej rzetelności, nad której upadkiem w powojennej Polsce Bocheński tak ubolewa.